

Wolni z wolnymi, równi z równymi

5 sierpnia 2007

Między "jankesofilami", "prawdziwymi Europejczykami" i "agentami KGB" powinno być miejsce na inne wizje sojuszków międzynarodowych.

Dominująca opcja proamerykańska w polskiej polityce zagranicznej jest zarówno w pewnym sensie zrozumiała, jak również – niestety – obarczona sporą i wciąż rosnącą liczbą kłopotliwych implikacji. Gorący temat budowy elementów tzw. tarczy antyrakietowej na terytorium naszego kraju zmusza chcąc nie chcąc do refleksji nad tym, jak mogłaby wyglądać opcja alternatywna.

Problem w tym, że ledwie ktoś zasugeruje, iż Wuj Sam niekoniecznie jest najbardziej fortunnym partnerem, czy raczej protektorem Polski, wrzuca się śmiałka do worka pełnego epitetów, z których najłagodniejszy to „rusofil”, a kolejne są już znacznie bardziej obraźliwe. Choć ostre pyskówki polityczne i towarzyszące im prostactwo „argumentów” (przerzucanie się „faszystami”, „populistami”, „komunistami” czy „liberałami”), są chlebem powszednim naszej debaty publicznej, to właśnie w tej jednej kwestii – sojuszu z USA – chór jest jednomyślny, a nieliczne wyjątki poddane zostają nagonce wyjątkowo zajadłej i bezpardonowej. Nawet jeśli nie przybiera ona postaci steku oszczerstw i kalumnii, to i tak bazuje na daleko posuniętych, krzywdzących uproszczeniach.

Dobrym, niedawnym przykładem jest tekst Barbary Fedyszak-Radziejowskiej, zamieszczony w „Rzeczpospolitej” z dnia 16 lipca. Komentując plany powołania wspólnej partii na bazie Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin, autorka nazywa ów twór „Partią miłośników Rosji”. Co znamienne, teza taka nie pojawia się jako wniosek płynący po prostu z analizy programów czy

praktyki obu stronnictw. Fedyszak-Radziejowska pisze bez owijania w bawełnę: „Jedyną świeżą i oryginalną na naszej scenie politycznej programową ofertą tworzącej się partii będzie /.../ sympatia do Rosji. Trudno sądzić, że jest to oferta atrakcyjna dla szerokich rzesz wyborców. Sytuacja jednak może się nieco zmienić. Polacy bowiem – jak wiadomo – są przeciwnikami instalacji tarczy antyrakietowej na terenie naszego kraju. Dlatego boję się, że ten aspekt może okazać się najbardziej nośną częścią kampanii LiS”.

Określenie „partia miłośników Rosji” jest eleganckie na tle epitetów, jakimi obdarza się zazwyczaj tych, u których czołobitny stosunek wobec USA sytuuje się poniżej normy. Nie zmienia to faktu, że jego autorka dość swobodnie, a wręcz nonszalancko, wpisuje obie wzmiankowane partie w schemat miłośników Rosji, choć cechuje je zaledwie – i to raczej w wydaniu Samoobrony niż LPR – pewien sceptycyzm wobec nachalnej i ślepej opcji prozachodniej (w partii Andrzeja Leppera wypływa w dodatku raczej z pragmatyzmu gospodarczego, który zbyt często innym partiom jest przesłaniany przez tzw. politykę historyczną). Trudno byłoby wskazać np. jakieś znaczące postawy LPR, które świadczyłyby o prorosyjskiej orientacji polityków tej partii. Można wręcz zaryzykować tezę, że jak na spadkobierców idei Romana Dmowskiego jest ona zadziwiająco powściągliwa wobec Rosji, podobnie zresztą jak w kwestii postaw antyzachodnich, które wyczerpują się głównie w krytyce centralistyczno-unijnych projektów europejskich. Fedyszak-Radziejowska jednak mimochodem demaskuje kiepską logikę własnych opinii. Wedle niej – i mnóstwa podobnych autorów – wystarczy być ostrożnym wobec pomysłów USA, aby zasłużyć na miano miłośnika Rosji. Takie uproszczenie, choć zrozumiałe na gruncie sporów politycznych i napiętnowania przeciwników, rzutuje jednak wielkim, ponurym cieniem na jakość debaty o polityce zagranicznej i sojuszach międzynarodowych.

Niezbędne będzie tu zastrzeżenie o odmiennej wymowie. Otóż w

Polsce sympatia wobec USA jest znacznie bardziej uzasadniona i ugruntowana, niż chcieliby to widzieć zwolennicy bojowego „antyamerykanizmu”. Sprawa nie jest bowiem tak jednoznaczna, jak choćby w części krajów Europy Zachodniej. Ma ona przynajmniej kilka istotnych aspektów.

Po pierwsze, Stany Zjednoczone w jakimś stopniu – trudnym do jednoznacznego oszacowania – przyczyniły się do upadku komunizmu i nastania systemu, który choć nie pozbawiony licznych i dotkliwych wad, ma jednak wystarczająco dużo zalet, by uznać go za jakościowo lepszy niż poprzedni ustrój. Piszę to jako ktoś, kto Ronalda Reagana uważa za ideologicznego maniaka, ekonomicznego szaleńca oraz politycznego łotra. Jego prostacka wersja chrześcijaństwa, typowa dla amerykańskiego sekciarstwa, połączona z apoteozą szkodliwej wiary w tzw. wolny rynek, to wszystko zaś wsparte w polityce zagranicznej o działania z pogranicza zwykłych zbrodni, stanowiły wyjątkowo groźną mieszaninę wybuchową, a jej negatywne skutki dla świata i samych Stanów Zjednoczonych są odczuwalne jeszcze dziś. Nie da się jednak ukryć, że – jakkolwiek motywowana oraz realizowana – jego polityka wobec ZSRR i całego Bloku Wschodniego miała wpływ na korzystny dla Polski upadek komunizmu. Gdyby nie Amerykanie, kto wie, jak wyglądałaby dziś nasza część Europy, ale można wątpić, by wyglądała lepiej niż obecnie.

Po drugie, istotna jest kwestia geopolityczna. Jakkolwiek strach przed Rosją wydaje się w Polsce mocno wyolbrzymiony a resentymenty „zaborczo-sowieckie” stanowczo nazbyt rozdęte, nie należy popadać w drugą skrajność i twierdzić, że ten olbrzymi, znaczący kraj, „przyzwyczajony” w toku dziejów do sytuacji, w której „kurica nie ptica, Polska nie zagranica”, nie ma wobec nas żadnych zakusów, wynikających choćby ze zwykłej sprzeczności interesów, nie zaś z jakiejś demonicznej „antypolskości”.

Podobnie dzieje się z Niemcami, które to państwo tylko nader naiwni mogą postrzegać jako tygrysa pozbawionego, na własne

życzenie, wszystkich zębów tylko dlatego, że razem z nami należą do wspólnego europejskiego klubu. W klubie owym, wbrew marzeniom sporej rzeszy prognostyków, nie zanikły ani antagonizmy narodowe, ani sprzeczności interesów, ani dbałość poszczególnych nacji o siebie, także kosztem dobra wspólnego. Unia Europejska co najwyżej łagodzi takie zjawiska, nie eliminując ich na trwałe, a powszechna harmonia nie zapanuje w niej choćby tylko z tego powodu, że poszczególne części składowe Wspólnoty znajdują się na nieraz diametralnie odmiennych szczeblach drabiny rozwojowej. To, co dobre dla nowoczesnego bogacza, niekoniecznie musi być właściwą receptą dla uboższego i zapóźnionego kuzyna.

W efekcie takiego obrotu sprawy, wcale nie takie głupie wydaje się szukanie wsparcia w podmiocie odległym geograficznie, lecz potężnym i mającym na Starym Kontynencie pewne interesy do załatwienia. Stąd też sojusz z USA wcale nie jest dla Polski aż tak bardzo negatywny choćby właśnie w kontekście stosunków sąsiedzkich oraz „gier i zabaw europejskich”, jak chcieliby to widzieć różnej maści bezrefleksyjni „antyamerykanie”.

Po trzecie wreszcie, nie można lekceważyć nastrojów społecznych. Polska jest tym krajem spośród byłych demoludów, w którym sympatie wobec Stanów Zjednoczonych są od lat najsilniejsze, nie zmniejszając się nawet pod wpływem negatywnej oceny niektórych konkretnych działań władz USA (jak choćby podejmowane interwencje militarne). Wynika to z różnych, nie do końca jasnych przesłanek, wśród których można wymienić choćby fascynację mitycznym bogactwem Jankesów, pewne podobieństwa w wojowniczo-indywidualistycznym etosie kulturowym obu nacji, czy też liczną w XX wieku imigrację naszych rodaków za ocean. To wszystko skutkuje większą „naturalnością” sojuszu z USA niż miałoby to miejsce w takich krajach, jak np. Czechy czy Serbia.

Pewna „proamerykańskość” Polski byłaby zatem zarówno zrozumiała, jak i służąca naszym interesom w takim właśnie kontekście. Jednak także w tym przypadku sprawdza się ludowa

mądrość, że co za dużo, to niezdrowo. Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi przybiera coraz bardziej negatywną postać z co najmniej trzech względów. Pierwszy z nich, to kwestia moralności. Oczywiście wiem, że w polityce zbytnie przywiązanie do tej sfery może się skończyć w najlepszym razie śmiesznie, w najgorszym zaś strasznie. Możliwości wyboru sojuszników są zazwyczaj ograniczone, skazując na alianse z towarzystwem wątpliwej jakości. Czasem nie ma innego wyjścia, jak tylko zacisnąć zęby w imię wyższej konieczności. Polityczny przyjaciel/sojusznik – co już dawno zauważył Carl Schmitt – wcale nie musi budzić naszej sympatii na gruncie „prywatnym”, a wręcz przeciwnie, może nam się wydawać antypatyczny.

Sęk w tym, że polityka USA w ostatnich latach zaczyna przekraczać wszelkie granice, co sprawia, iż sojusz z właśnie antypatycznym typem zaczyna niebezpiecznie przypominać komitwę ze zwykłym, pozbawionym wszelkich skrupułów, sukinsynem. Bombardowania Serbii czy napaść i okupacja Iraku, wszystko to obficie podlane sosem prymitywnych kłamstw i zaawansowanego propagandowego prania mózgów, są zbyt wysoką ceną, którą płacimy jako sojusznicy USA w takich przedsięwzięciach. Granica między dbałością o własne interesy a współudziałem w zbrodni zostaje przekroczona, i niczego nie zmienia tu wywody o rozmaitych rzekomych „koniecznościach” – od czasu pamiętnej piosenki Kelusa wiadomo wszak, że „tutaj warto zrobić historyczny przytyk, niejeden folksdojcz był real polityk”.

Swoją drogą, znamienny jest rozdźwięk między religijnymi deklaracjami polskiej prawicy i powszechnym wśród polityków różnych opcji kultem Jana Pawła II, a totalnym lekceważeniem stanowiska Watykanu i Papieża-Polaka właśnie w kwestii „humanitarnych interwencji”, „przywracania demokracji” itp. Gdy papież bezpardonowo potępiał aborcję, to wtedy był dobrym namiestnikiem Kościoła – gdy ten sam papież potępił wojny wszczynane przez USA, był on „szlachetny, lecz naiwny” lub, o

zgrozo, „podatny na lewacką propagandę”...

Kolejna istotna kwestia, która wskazuje na zbyt daleko posunięte związki z USA, to „jakość” wzajemnych relacji. Trudno oczekiwać, żeby sojusz olbrzyma i karzełka opierał się na faktycznej równości stron – o „partnerstwie” i „wzajemności” można mówić wiele i podniośle, ale asymetria owego układu jest oczywista. W tym konkretnym przypadku Polska jednak idzie za daleko – nawet karzełek bowiem powinien mieć swój karzełkowy honor i niekoniecznie zgadzać się na rolę chłopca na posyłki. Tymczasem kolejne „układy” z USA – zakup F-16, udział w agresjach militarnych, kwestia offsetu, a ostatnio czołobitny stosunek wobec „oferty” tzw. tarczy antyrakietowej – pokazują, że nasz „sojusz” z USA opiera się na zasadzie „pan każe – sługa musi”.

Nie mam przy tym na myśli, jak ktoś mógłby opacznie zrozumieć, zachętę do targowania się i np. „wyciśnięcia” ze Stanów Zjednoczonych zniesienia wiz w zamian za ułożenie u nas elementów tarczy antyrakietowej. Jakikolwiek sojusz, choćby bardzo nierówny, nie powinien mieć wyjścia awaryjnego w postaci rozumowania „zgodzimy się na to, ale dajcie nam to i to”, lecz opierać się na zasadzie „na to się po prostu nie zgodzimy”. Tymczasem już sam sposób negocjowania uzgodnień z władzami USA przez polskich polityków skutecznie leczy z naiwnego mniemania, że któryś z nich potrafiłby się faktycznie „postawić” Wielkiemu Panu Zza Wielkiej Wody.

Trzeci wreszcie negatywny aspekt ożywionych relacji ze Stanami Zjednoczonymi to przenikanie stamtąd prymitywnej ideologii neoliberalnej (neokonserwatywnej), nie ograniczającej się bynajmniej do sfery ekonomicznej. Ślepy kult wolnego rynku i apoteoza ograniczania społecznych funkcji państwa to tylko jeden element tego problemu. Inny to równie ślepy kult PKB, na wzrost którego składają się w równym stopniu budowane nowe mieszkania, co i np. „dobrodziejstwa” wypadków samochodowych, bo pogrzeby ofiar, koszty leczenia rannych czy remontów rozbitych aut też stymulują wzrost gospodarczy, co nie

przeszkadza różnym maniakom w wychwalaniu owej dwuznaczej „koniunktury”. Do tego dochodzi sprowadzenie sfery etycznej i religijnej do postaci uproszczonej, zindywidualizowanej: „jeśli wszyscy będą się modlić i nie popełniać grzechów, to świat będzie dobry”. Brak w niej zrozumienia, że w chorym społeczeństwie poszczególne jednostki, choćby „najlepsze”, również zachorują, bo oprócz jednostkowych grzechów istnieją też ogólnospołeczne źródła problemów, zwane przez Jana Pawła II „strukturami grzechu”.

Na gruncie takich „wartości” wyrasta ostatecznie polityka nastawiona na zwalczanie skutków, nie zaś eliminowanie przyczyn – bo inaczej nie może być w zbiorowości zatomizowanej, opartej na jednostkowych relacjach a to z Wolnym Rynkiem, a to z Prawami Obywatelskimi, a to z Panem Bogiem. Efektem jest przekonanie, że gdy zamożniejszy da biedniejszemu złotówkę, to filantropia rozwiąże problem biedy, że gdy wierni pomodlą się za zagubionych, to „wartości chrześcijańskie” zatriumfują, a gdy kilku bandziorów surowo ukarzymy, to inni się przestraszą i przestaną być bandziorami. Ta naiwna i zupełnie nieskuteczna mieszanka prowincjonalnych przesądów oraz ideologii powstałej w oderwanych od realnego świata salonach wielkomiejskich „konserwatywnych” milionerów, zdobywa w Polsce coraz większą popularność właśnie za sprawą polityczno-kulturowej zależności od wpływowych środowisk amerykańskich. Kiedyś mieliśmy czytanki o Leninie, dziś mamy podobny bełkot Radosława Sikorskiego i jego przyjaciół-neokonsów.

Wszystko to sprawia, że nawet nie popadając w naiwny „antyamerykanizm”, Polsce na dobre wyszedłby rozbrat z nowym Wielkim Bratem. Pytanie jednak, co w zamian. Najczęściej formułowana alternatywa mówi po prostu o Unii Europejskiej jako przeciwwadze dla USA. Wedle tej wizji, Polska powinna wspierać wysiłki na rzecz daleko posuniętej integracji Starego Kontynentu, nawet za cenę znacznego „roztopienia” w nowym, centralistycznym tworze. Oczywiście nawet najwięksi entuzjaści

tego pomysłu nie spodziewają się, aby Stany Zjednoczone Europy mogły w jakiejś realnej perspektywie dorównać potęgą Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Niemniej jednak, europejskie siły zbrojne, aktywna wspólnotowa polityka na forum instytucji międzynarodowych, pewna „euro-autarkia” w gospodarce czy umocnienie znaczenia euro kosztem dolara – wszystko to sprawiłoby, że ci, którzy dziś sięgają USA do kolan, urosłiby na wysokość ich pasa, a może nawet ramienia.

Wizje tego rodzaju są rozmaitej proveniencji – „europeizm” równie dobrze może wypływać z lewa (np. środowisko „Krytyki Politycznej”), jak i z prawa (nieistniejące już pismo „Stańczyk”), może być doktryną członków politycznego i kulturowego establishmentu, ale również najgłębszych czeluści antysystemowego undergroundu. Jest w nich sporo racji – czy to wtedy, gdy zwracają uwagę na słabość państwa narodowego w epoce globalizacji lub niezdolność przezwyciężenia rodzimego marazmu bez bodźców z zewnątrz, czy wtedy, gdy wskazują na wspólne dziedzictwo kultury zachodniej albo terytorialną bliskość i silne związki ekonomiczne. Nawet jeśli są to wizje nie do końca przekonujące, wskazują na istnienie problemów, których nie da się rozwiązać chowając głowę w piasek.

Podstawowy problem z tak zarysowaną alternatywą polega na tym, że de facto powieliła ona podstawowe wady opcji proamerykańskiej. Tutaj także nie ma mowy o żadnej równości stron sojuszu. Polska będzie traktowana jako gorszy krewny – zarówno na płaszczyźnie ekonomicznej, jak i w sferze podejmowania kluczowych decyzji – a nasze możliwości zmiany owej sytuacji są niewielkie. Każdy z silnych graczy będzie dbał przede wszystkim o własne interesy, a tradycyjnie prorosyjskie sympatie Niemiec i Francji niespecjalnie zabezpieczają nas także ze wschodniej flanki. Nie należy również mieć złudzeń w kwestii zasad moralnych naszych europejskich sojuszników – Belgrad bombardowały amerykańskie samoloty, ale zachęcały je do tego całe szeregi europejskich propagandzistów, w dodatku głównie ze środowisk lewicowo-

liberalnych. Podobnie jest ze sferą ideologiczną – tak jak USA wciskają „wartości” kołtuńsko-prawicowe, tak UE przegina w drugą stronę, papierkiem lakmusowym naszej normalności czyniąc to, czy oferujemy obywatelom aborcję na życzenie oraz swobodę w zawieraniu małżeństw przez dwóch facetów. W obu przypadkach nie jest to ani sojusz równego z równym, ani też oparty na samych korzystnych zasadach oraz „importcie” rozwiązań wyłącznie dobrych.

Nie jest oczywiście możliwe ot tak, po prostu, zerwanie sojuszków z USA i UE. Wbrew śmiałym, lecz dzieciennym wizjom różnych radykałów, nie jest to także sytuacja pożądana i akceptowana przez społeczeństwo, i bynajmniej nie tylko dlatego, że poddano je zmasowanej propagandzie i praniu mózgów. Warto byłoby natomiast rozważenie takiego rozwiązania, które wzmocniłoby naszą pozycję w ogóle, zwiększyło zakres niezależności od wspomnianych dwóch potęg, a także nie zaowocowało zamianą dżumy na cholere (jaką byłoby dostanie się w rosyjską strefę wpływów). Co konkretnie mam na myśli? Sojusz wolnych z wolnymi i równych z równymi. Mówiąc mniej metaforycznie: zacieśnienie współpracy z krajami Europy Środkowo-Wschodniej, czyli odświeżenie koncepcji tzw. Międzymorza.

Wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej mają podobne problemy i sytuację, co stanowi dobry punkt wyjścia do połączenia sił. Większość z nich w przeszłości stanowiła obiekt zakusów Rosji lub Niemiec (a często obu tych krajów), z kilkoma wyjątkami, które znajdowały się na celowniku innych europejskich potęg (np. Francji). Do dziś w wielu z nich trwa subtelna gra będąca kontynuacją tamtych procesów – czy będą to konflikty z mniejszością rosyjską na Łotwie i w Estonii, czy „wojna domowa” na Ukrainie, czy roszczenia tzw. wypędzonych wobec Polski i Czech, czy aktywna rola Niemiec w podsycaniu konfliktów na Bałkanach.

Wszystkie te kraje mają za sobą również trwający pół wieku epizod wcielenia do Bloku Wschodniego, czyli suwerenności

ograniczonej na rzecz ZSRR. To wspólne doświadczenie historyczne uczuliło je na problem niepodległości i tożsamości narodowej – nawet jeśli dziś w referendum ich obywatele cedują część prerogatyw na instytucje ponadnarodowe, kraje te wciąż ożywia debata na temat „polskości”, „słowackości” czy „rumuńskości”.

Historyczne doświadczenie skutkuje także znacznie większym niż w Europie Zachodniej dystansem wobec obu totalitaryzmów, nie zaś tylko faszystów. Nawet jeśli spore części społeczeństw tęsknią za „starymi dobrymi czasami” Tity, Kádára czy Gierka, jest to raczej tęsknota za „małą stabilizacją”, której tak brakuje w dzisiejszym świecie hiperkapitalizmu, niż za ideałami komunistycznej utopii. Choć ocena przeszłości budzi gorące spory, obywatele tej części Europy znacznie lepiej zdają sobie sprawę z tego, jak wyglądały „błędy i wypaczenia” komunizmu niż dzieje się to w przypadku społeczeństw Zachodu, gdzie na większą skalę przebija się co najwyżej prawda o „złym stalinizmie”, który po śmierci Józefa Wissarionowicza był już – wedle popularnych tam opinii – całkiem cool.

Doświadczenia realnego socjalizmu przyczyniły się do kolejnego podobieństwa między krajami dawnego Bloku Wschodniego. Mimo zaawansowanej inżynierii społecznej i agresywnego promowania wzorców „nowego człowieka”, poprzedni system niejako zakonserwował dawne systemy wartości. Efektem zacofania gospodarczego i konsumpcyjnego, a także pewnej dyscypliny koniecznej w warunkach państw autorytarnych, jest znacznie mniej zaawansowany niż w krajach Zachodu rozkład pierwiastka religijnego, etyki wspólnotowej i tradycyjnej moralności. To właśnie realny socjalizm, ze wszystkimi swoimi ideologicznymi meandrami, sprawił, że w naszej części Europy mamy do czynienia z tak silnym oporem, czy choćby niechęcią wobec najbardziej skrajnych i bzdurnych tendencji kulturowo-obyczajowych. Choć „liberalni konserwatyści” nigdy tego nie pojmą swymi mózdzkami, Władysław Gomułka był mniejszym zagrożeniem dla tradycji kulturowej i religijnej niż Ronald Mc

Donald, nawet jeśli ten pierwszy oficjalnie zajmował się „krzewieniem świadomości socjalistycznej”, a drugi wychwala „świętą własność prywatną”.

Jeszcze jednym z efektów sowietyzmu, ale także wcześniejszej historii gospodarczej tej części Europy (traktowanej w międzywojniu nierzadko jako „wewnętrzne kolonie” Starego Kontynentu), jest również podobny status gospodarczy i poziom rozwoju instytucjonalnego. Najpierw zapóźnienia modernizacyjne, a następnie forsowne, ślepe ich nadrabianie, po roku 1989 zaś „terapię szokową”, złożyły się pospołu na taki status gospodarczy, który nie daje szans na doszlusowanie do zachodniego peletonu. Nawet pewne wyjątki – Estonia czy Czechy – raczej potwierdzają regułę, tym bardziej, że dotyczą krajów, których liczba ludności i warunki naturalne (położenie, wielkość terytorium, zasoby) pozbawiają złudzeń w kwestii nadziei na całościowo rozumianą – czyli mierzoną nie tylko wzrostem PKB – potęgę. Jeśli nawet te „rodzynki” wysforują się nieco przed resztę krajów regionu, to dysproporcje nie staną się tak wielkie, jakie są i wciąż będą istniały między tutejszymi liderami a zachodnimi bogaczami typu Anglia czy Niemcy. Dlatego w ramach takiego sojuszu nie należałoby się raczej obawiać, że któryś z partnerów zdominuje pozostałych.

Ostatni wreszcie, może najmniej ważny, lecz również istotny czynnik, to położenie geograficzne. Wszystkie te kraje znajdują się w jednym „ciągu”, tworząc blok zwarty terytorialnie, co ułatwia prowadzenie wspólnej polityki i daje wiele szans rozwojowych. Do tego należy dodać położenie między Wschodem i Zachodem oraz na części szlaków z Południa na Północ, będące kolejnym czynnikiem, który przy odpowiedniej strategii może dać olbrzymie korzyści.

Trudno oczywiście dziś oczekiwać powstania wkrótce jakiegoś silnego, zjednoczonego bloku regionalnego, który wprost rzuciłby rękawicę Unii Europejskiej czy posłał w diabły amerykańskich oficjeli i ich agentów wpływu. Zapewne taki

radykałny rozbrat nie byłby też korzystny dla jego członków, nawet gdyby był możliwy. Ale gdy mamy do czynienia z presją trzech gospodarczych i politycznych potęg – USA, UE i Rosji – to warto zastanowić się nad sojuszami regionalnymi. Sojuszami opartymi o podobieństwa kulturowe i analogiczne interesy polityczne. Sojuszami bazującymi na współpracy podmiotów stosunkowo równych i niezdolnych narzucić partnerom tak upokarzających warunków, jakie dziś oferują nam lokatorzy Białego Domu, NATO-wscy generałowie, unijni „eksperci” oraz gazowo-naftowi oligarchowie sterowani z Kremla. To oczywiście wizja wymagająca ogromnej pracy i jeszcze większej odwagi, ale też mogąca coś na serio zmienić w nieustannej grzej w fatalizm służenia ciągle obcym panom.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [“Obywatel”](#)